

Postanowiła walczyć o godność

Osobie mówi, że przekroczyła limit na życie. Przeżyła wiele tragicznych momentów, które wyryły bolesne blizny. Była poniżana, odrzucona, osamotniona w chorobie. Czuła się jak niepotrzebny przedmiot. Gdy pojechała do Holandii i zobaczyła, jak tam traktuje się osoby niepełnosprawne, postanowiła, że nie da się dłużej dyskryminować.

Budynek, w którym mieszka Małgosia, jest ukryty między innymi blokami w głębi jednego z poznańskich osiedli. Niełatwo tutaj trafić. Pomaga mi pani wyprowadzająca akurat psa na spacer. Małgosia mieszka na parterze. To dla niej wyzwanie, bo brak windy byłby poważną przeszkodą w codziennym funkcjonowaniu. Gdy wchodzi do mieszkania, od razu widzę rękę artystki. Stylowo pomalowane ściany, na których wiszą gustowne dekoracje. W drugim pokoju rozstawione sztalugi, kilka obrazów opiera się o ścianę.

Wprawdzie Małgosia jako wrażliwy człowiek bała się tej rozmowy i chociaż jej życie to pasmo udręku, pod koniec zaczyna się uśmiechać. Przekonuję ją, że chodzi właśnie o uśmiech, optymizm, nadzieję, siłę do walki z losem. Małgosia swoimi złymi doświadczeniami mogłaby obdarować kilka osób. Ale mimo to poradziła sobie. Gdy siadamy na kanapie, podłącza się do respiratora tlenowego. Bez niego nie może funkcjonować. Z drugiej strony duża maszyna utrudnia jej wyjście z domu. Ale i z tym nauczyła się żyć.

– Pierwsze symptomy choroby pojawiły się, gdy miałam siedemnaście lat – mówi Małgosia. – Rzut był tak silny, że znalazłam się na wózku inwalidzkim. Myślałam, że przegrałam życie. Czułam lęk, który mnie paraliżował. Mama nie poradziła sobie z moją chorobą. Zmarła bardzo młodo, zabiła ją bezsilność i niezgoda na to, co mi się przydarzyło. W ojcu od początku nie miałam wsparcia. Traktował mnie jak człowieka dru-

giej kategorii. Podkreślał moje kalektwo i snuł opowieści, które mnie przytaczały i niszczyły moje poczucie godności. Nigdy nie zaznałam od niego niczego dobrego. Byłam sama. Takie traktowanie ze strony najbliższej osoby mocno odużyło się na mojej psychice. Dałam sobie z tym radę, ale wiedziałam, że na ojca liczyć nie mogę. Miałam zdolności plastyczne, dlatego podjęłam naukę w Liceum Plastycznym. Grałam także w koszykówkę. Byłam wysportowana, atrakcyjna, uzdolniona, rysowała się przede mną piękna przyszłość. Nagle zastabłam.

Od tego momentu zaczęły się wędrówki po lekarzach. Pojawiały się różne wersje choroby. Wyrokowano zapalenie opon mózgowych, zapalenie opon rdzeniowo-mózgowych, a nawet histerię. Małgosia musiała przerwać naukę w Liceum Plastycznym. Zaczęła się walka o przetrwanie.

– Najbardziej bolało mnie zachowanie i brak zrozumienia ze strony innych ludzi – mówi. – Bariery architektoniczne można pokonać, ale społeczne nie. To był czas, w którym wiele się nauczyłam o sobie i o innych. Być może ta wiedza przydała mi się, gdy zakładałam rodzinę, urodziłam i wychowałam syna.

Na prośbę mamy Małgosia nieżyjący profesor Wiktor Dega, nestor polskiej ortopedii, przyjął ją na rehabilitację do szpitala przy ulicy 28 Czerwca 1956

w Poznaniu. Spędziła tam siedem długich miesięcy. Ostateczną diagnozę postawił profesor Józef Szczypiński, który, gdy po kolejnym rzucie choroby pogorszył się jej wzrok, przeprowadził specjalistyczne badania i nie miał wątpliwości, że jest to stwardnienie rozsiane. Wcześniej leczyli Małgosię sterydami. Stawiano rozmaite diagnozy, podejrzewano różne schorzenia. O stwardnieniu rozsianym mówiono niechętnie, z dystansem i tajemniczo. Pierwszy rzut był okropny. Małgosia nie mogła się ruszać. Nie kontrolowała swoich reakcji, miała podwójne widzenie, towarzyszył jej ogromny lęk i przerażenie. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

– Przeżyłam śmierć kliniczną, którą cały czas widzę tak, jakby to się wydarzyło przed pięcioma minutami – wspomina. – To było niesamowite uczucie. Przekonałam się, że po tamtej stronie jest dobrze. Widziałam różne fragmenty z mojego życia. Tak autentyczne i prawdziwe, że trudno było uwierzyć.

Po tym wydarzeniu zaczęło się w życiu Małgosia pasmo udręku i bólu. Była krytykowana za to, że jest chora, za to, że żyje, za to, że chce być. Ale nie poddała się, zdała maturę, skończyła uczelnię plastyczną. Została malarką. Poznała człowieka, z którym założyła rodzinę. Urodził się syn, któremu pomimo choroby poświęciła swoje życie.

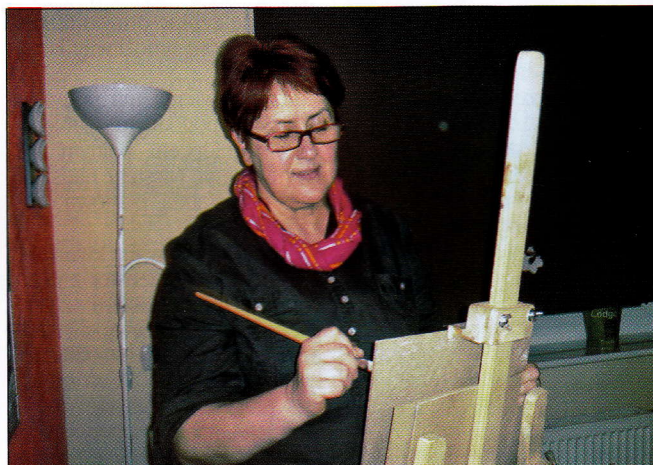
Ale mąż w pewnym momencie odszedł. Na dodatek syn zachorował na bardzo poważną alergię, która wymagała intensywnego i kosztownego leczenia. Małgosia nie wie, skąd wzięła na to siły. Nie myślała wówczas o sobie. Napędzała ją walka o zdrowie dziecka. I udało się. Syn wyzdrowiał, zdobył wykształcenie i się usamodzielniał. Teraz żyje własnym życiem.

Kolejnym bolesnym wydarzeniem w życiu Małgosia był wypadek samochodowy, którego skutki ciągną się już pięć lat. Wyjeżdżała z synem na święta do rodziny. W tył ich auta uderzyła starsza kobieta. Potem wszystko potoczyło się jak w filmie. Z samochodu Małgosia zaczęła wyciekać gaz. Ona straciła przytomność. Znowu szpital. Tym razem stwierdzono uszkodzenie zatoki szyjnej, czyli tak zwanego zęba, na którym obraca się głowa. Teraz, gdy Małgosia odwraca głowę w lewą stronę, traci przytomność. Potem była tragiczna śmierć siostry na jej oczach i niepełnosprawność siostrzeńca.

Sens swojego życia Małgosia odnalazła w malarstwie. Lubi malować portrety. Z dumą pokazuje portret swojej nieżyjącej siostry. Teraz pracuje nad wizerunkiem synowej. W jednym pokoju urządziła pracownię malarską. Ustawiła sztalugi, ma tam farby, pędzle oraz inne akcesoria malarskie. Gdy nie może spać, wstaje i zabiera się za malowanie. Daje jej to ukojenie i coraz częściej wywołuje radość. Doczekała się własnej wystawy. Zainteresowała ją także technika decupage.

Pomimo, że Małgosię spotkało w życiu wiele złego, pod koniec naszej rozmowy przekonuje, że nie wolno nikogo nienawidzić, bo to uczucie niszczy człowieka od środka. Nie warto także rozdrapywać ran. Trzeba umieć wybaczać, bo to przynosi ulgę. Były chwile, że chciała przestać żyć. Miała wszystkiego dosyć. Ale potem te złe nastroje minęły i znowu poczuła chęć do życia. I oby było tak dalej.

AURELIA PAWLAK



FOT. AURELIA PAWLAK